

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 5go Numeru: „Wieczór w Czarnym-Lesie, Obrazek p. Kraszewskiego. O zasadach wychowania po szkołach wyższych przez H. C. Ciąg dalszy. Krytyka literatury Michała Wiszniewskiego. Nowiny literackie z Poznania.

WIECZÓR W CZARNYM-LESIE.

Obrazek.

(Przez **I. I. Kraszewskiego**.)

(Ciąg dalszy.)

Ledwie weszli na próg domu, skrzypią znowu wrota dziedzińca; odwrócił się smutno gospodarz, spojrzy — drugi towarzysz przybywa, już wjeżdża i toczy koniem w podwórco.

Ten drugi, był to mężczyzna młody, smukły, chudy, opalony, ubrany niepocześnie, na koniu prosto osiodłanym, w oponczy ciemnej, z nahajką w rękę — pędził czwałem do ganku.

— Hola, ho! stojcie, rzekł, poczekajcie! i ja przybywam!

— Widzę to, pomyślił w duchu poeta, ale Bóg widzi, że mnie to nie wiele raduje. — Odwrócił się jednak cierpliwy uprzejmie i powitał przybywającego Wojtkę, znanego na okół gadułę.

— Teraz o tu już niechybnie przepadł — mój wieczór, rzekł do siebie z rezygnacją poeta, Wojtek do jutra będzie gadał, kiedy raz język rozpuści. Dobrze, mówił pan Padniewski, niema, jak cisza klasztoru; niema, jak odosobnienie!

— Co mam wam powiedzieć! co mam wam powiedzieć! przerwał Wojtek, zaraz zsiadając

— Ciekawości! mirabilia! stupenda!

— Chódźmyż słuchać, proszę do domu!

Stali w progu.

— Ej, po co nam do domu, taki piękny wieczór, ot' lepiej pójdziemy pod lipę Waszmościna, tam więcej powietrza i gwarzy się swobodnie na dworze, a może i kto jeszcze na-dejdzie!

— Alboż co! podchwycił Kochanowski z przestachem.

Spotkałem tu niedaleko Bartosza.

Bartosza?

— Tak! tego to dobrego kompana, co z domu do domu cały rok pielgrzymuje, a do swego inaczej nie zajrzy, aż na ostatku, gościem tylko będąc u żony.

Pewnie i on tu nadjedzie, ale ponoż to nie kto inny?

— A on ci to: rzekł, muskając wąsa pan Petryłło.

I ukazał się Bartosz.

Był to mężczyzna, lat około czterdziestu, rumiany, wesolej twarzy, dobrze podhodowanego, opaciego żołądka. Suknie na nim wygodne, ale nie nowe i nie strojne; koń jego chudy, jak zwykle na cudzym obroku. Głowę miał okrytą białą czapczką, zpod której jednak nie wymykały się włosy, bo ich nie na łbie nie było. Poszły one wszystkie z dymem winnym, natomiast miał czarną i gęstą hiszpańską bródkę, która jakby wynagradzając za łysą głowę, rosła bujno, by zboże w Ukrainie, aż miło było patrzeć.

— Ho! witajcież, witajcież panie Wojski, rzekł zdaleka Bartosz — kopa set, kopa lat, jakem w waszym domu nie był.

— Wdzięczny za łaskę, że o mnie nie zapomniacie, odpowiedział gospodarz, a w duchu pomyślał: — Coraz mi więcej przybywa, przepadł wieczór i praca, trzeba być gościnnym! Było ci zostać księdzem, jak radził Padniewski! Było ci się zmniszyć! Chciałeś onęj swobody wiejskiej zakosztować, masz ją nieboże, aż ci gardłem lezie.

Ledwie Bartosz sapnąwszy i obejrzawszy się, czy nie ujrzy dzbana, siadł na ławie i westchnął; ledwie Petryłło poprawił okurzonego stroju, ledwie Wojtek opowiadanie jakieś ab ovo rozpoczął — skrzypnęły wrota znowu.

— Czy nasłanie: czy czary! pomyślał poeta.

— Któż nam przybywa? rzekł Petryłło.

Spojrzą, jedzie ktoś konno jeszcze; — nowy gość.

W śmiech wszyscy, skoro go ujrzeli, bo i było się z czego śmiać.

Na wielkiej marsie bulanej, której rząd był czarny, jechało coś tak małego, żebyś to wziął z daleka, za dobry tłumok podróżny. Był to sławny junak pan Mateusz, znany z małej po-

stawy, a wielkiej odwagi. Jechał on w jasnoseledynowym kontuszu, w żółtych butach, w kołpaku bardzo wysokim. Oczy i włosy miał kruczej czarności, twarz rumianą, ożywioną, usta świeże jak jagody, trzymał się prosto jak kij, a nieustannie naokół zirkował oczami, jakby czego szukał, w istocie, żeby dojrzeć, czy kto nie szydzi z jego postawy. Oprócz kołpaka, który zapewne miał miny i urody dodawać panu Mateuszowi; miał on wąsy, ale takie, których by mu był najogromniejszy drab pozazdrościł. Czarne były, lśniące, a tak długie, że z jednej i drugiej strony twarzy wystawały mu po ćwierć lokcia. Żartownisie mówili, że z nimi wyglądał, jakby trzymał kij w zębach, ale mówili to po cichu, bo Mateusz jak osa do oczu skakał, byle mu kto czem jego nieszykowną postawę przypomniał.

Ujrzawszy siedzących pod lipą, poskoczył przybyły ku nim i powitał poetę ścisnieniem ręki, potem towarzyszy w kolej; ci go uroczyście powitali, prostując się jak najmocniej i starając się, żeby ich twarzy nie dostał, co nie było trudnem. Omal tam zaraz z tego nie przyszło do zwady, gdyby Wojtek, któremu szło o to, żeby go słuchano, nie rozbroił w początku zwaśnionych, żartując z stron obu. Posłano po dzbany, bo wtenczas inaczej nie lza było gości przyjmować, tylko pełnemi.

Tymczasem toczyła się rozmowa o nowinach z królewskiego dworu, od Turek, o wieściach, jak miały się odbyć sejmiki, o przyszłych urodzajach i cenach; nikt z poetą nie mówił o tem, co go zająć mogło, co go się tykało, każdy plót swoje, dla siebie. Petryłło opowiadał, jako się miał do pewnej gładkiej pani, która go srodze zwiedla, aż kijmi od męża po grzbiecie dostał, z czego się prawie cieszył, że go jeszcze równo z gachami niebezpiecznym i uważając, karano; Wojtek paplał, co mu ślina do gęby niosła; Bartosz pozbierane w podróży plotki, jedne po drugiej jak z woru wytrząsał; Mateusz założywszy znowu kołpak na głowę, aby wzrostu

sobie przyczynić, chodził, świszcząc pod lipą. Wstał Kochanowski i poszedł do domu.

Na progu spotkała go żona nieboga, i wskazując mu konie, które słudzy wodzili po podwórzu, spyta:

— Tatarzy to, czy co?

— Gości Bóg dał, moja miła Hanno, rzekł Jan, trzeba ich przyjąć, kaźcie tam uwarzyć wieczerzę, a dobądźcie miodu z piwnicy i jaki dzbanek wina.

— Wieluż ich tam Bóg dał? spytała.

— Jest ich dotąd czterech, rzekł Jan, ale kiedy już poszło na to, to się pewnie i więcej przysunie.

— Że też to nigdy nie ma pokoju, odpowiedziała, wdychając kobieta.

— A cóż by to było, moja miła Hanno, rzekł Jan, gdybym był owo przyjął kasztelania, jakeście mi bardzo wówczas życzyli! Teraz jam sobie szlachcie prosty, a niechnoby się tu krzesło senatorskie wtoczyło, jeli by się sypać panowie senatorzy, bylocoby to dopiero czego słuchać! Bylby zasię pan kasztelan zjadł pana Wojskiego w pół roka. Ale dajmy pokój — dobrze jest, jako Bóg dał, starzy nasi mówili, gość od Boga.

— Dawno to chyba mój panie, rzekła pani Janowa, kiedy ich Bóg rzadziej przysyłał. Potem zawołała na dziewczki, a Jan westchnąwszy, poszedł znowu ku lipie.

Ale tu już miasto czterech, sześciu zastał gości, przyszło ich dwu razem, gdy stał w sieni z żoną. Muzyk sławny na lutni Bekwark, przyjaciel poety, a kunsztmistrz swego czasu nieporównany, który wszędzie był miłym gościem, ba i w królewskim dworze. Drugi p. Mikosza, sławny też, ale tylko pijak. Ten ostatni wyglądał, jak przystało na tego, który od rana do nocy z kuflami tylko i dzbanami ma do czynienia. Suknia na nim splamiona szara, kontusina wytarty, buty obłocone, szabelka pogięta i pokrzywiona, pas w strzępkach, czapka kilka razy zszyta i w pierze ubrana. Na twarzy połyskującej czerwonej,

biały tu i owdzie szramy i szwy, między którymi rozeznac było można i ostre cięcia szabli i tępe uderzenia, o ręby ław i stolów po pijanu. Temi hiroglifami pisała się historia życia na czole pana Mikoszy. W koło oczu sine pręgi, usta sine także, nos i jagody w czerwonych brodawkach. Taki to był gość nowy, który już pod lawę z nienacka zaglądał, zerkał pod stół, czy gdzie dzbana nie zobaczy.

Ledwo nowo przybyłych gospodarz powitał, ażci znowu wrota skrzypią (Ciepiej ich było nie zamykać) i głos słyhać u bramy.

— Pan wasz doma?

— Doma. Z gośćmi się pod lipą zabawia.

— To Jost, Jost! zawołali wszyscy, wyglądając zpod gałęzi.

— Osobliwszy dzień, rzekł w sobie poeta, kiedy i ten się też odważył przyjechać, choć pewnie pieniędzy moich z sobą nie wiezie.

Tylko, co to w duchu rzekł, wpadł Jost, witając, ściskając, całując, syjąc oświadczeniami przyjaźni. Był to średniego wieku mężczyzna, ożywionej twarzy, niepokaźnego stroju, a bardzo czuły w oświadczeniach i nie dziw: każdemu coś był winien, więc się wyplacał serdecznością za pieniądze.

— Dawno już was nie widziałem, rzekł trochę uszczypliwie poeta — dobre to przysłowie — Chceszli stracić przyjaciela, daj mu pieniądze.

Jost się trochę zaplonił, ale przytomności nie stracił, skoczył znowu gospodarza ściskać i całować.

— Nie byłem doma, rzekł — najprawdziwsza prawda.

— Jakożywo, byli! przerwał Wojtek.

— Jak mi możesz klasmtwo w żywe oczy zadawać? obruszył się Jost (bo nie był nic winien Wojtkowi).

— Alboż ci mówiłem, że kłamiesz?

— Oba macie słusność — przerwał Bartosz ze śmiechem; Jost był i nie był doma; wiem o tem, bom dwa razy do niego zajeżdżał,

a obam go nie zastał, zawsze, jakby mu sroczka o gościu powiedziała, czy kotek, co się mył w kominię, wczoraj wyjechał, a jutro powracał, dość, że nigdy go dziś nie było.

Wszyscy się śmiać do rozpuku zaczęli i tak początek zwady utonął w wesołym żarcie.

Ale, gdy się to dzieje, skrzypi wóz we wrotach, słycać głos woźnicy:

— Hejta! hej!

Wszyscy skoczyli — któż to jedzie?

— Pan Slasa z żoną i córką! A to zmo-wa, czy co? rzekł Wojtek, i oni w gościnę do pana Wojskiego! Poznałem Slasę po nosie, bo mu sterczy zpod czapki, jak bocianowi, nie przy-mierzając.

Pan Petryllo sobie poglądał na przybywają-cych. — Dobra nasza, rzekł, jest już z kim i poszablankować. Córka pana Slasy, Kachna, urodziwa dziewczka, statecznych już lat, żeby jeszcze takich ze dwie, puścilibyśmy się w ta-ny, posławszy za muzyką.

— Ale, bo i druga kolasa — dodał Wojtek.

— Gdzie? druga? spytał Kochanowski i w duchu myślał — I szpiżarni nie starczy i domu.

— Druga kolasa pełna samych kobiet, pa-nie Petryllo, dodał Wojtek.

— Wszystko to familia panów Slasów i li-czna ich parentela, rzekł Bartosz, znam ich wszystkich, byłem u nich nie dawno, przeje-żdżając.

Już kobiety weszły do domu, a pan Slasa z owym nosem bocianim szedł ku lipie i witał wszystkich, głośno się śmiejąc, gotów był z sie-bie nawet, nie pytał czego, dla czego, byleby sobie dogodził. On tak potrzebował do życia śmiechu, jak drugi strawy; co kto powiedział, co kto zrobił, on się do rozpuku ze wszystkiego śmiał. Twarz jego malowała charakter osobli-wszy, marszczki, które na niej lata wydeptały, wszystkie miały jakies pokrewienstwo, łączność, zależność od tych, które powstają z uśmiechu, najwięcej ich krzyżowało się w kolo ust i sku-

pilo przy oczach. W posrodku tylko nos ów olbrzymi nieporuszony, milczący, stoiczny, nie miał żadnego udziału w nieustannej wesołości; a gdy usta ku uszom się rozchodziły, gdy oczy chowały się głęboko ze śmiechu, nos jakby nie wiedział o niczem, pozostawał poważny, nie zmieniając swojego charakteru i wyrazu.

Śmiejąc się, zaraz witał pan Slasa — Cha! cha! cha! witajcie!

Śmiejąc się, powstali wszyscy go ściskać.

(Dokończenie będzie w 6tym Namerze.)

O zasadach wychowania po szkołach wyższych.

(Ciąg dalszy.)

Postęp więc generacji do doskonałości taki: Osłabły na czas umysły, tak dzielne i czynne niegdyś u Greków i Rzymian, ale osłabienie to, właśnie sposobniejszemi je uczynić miało do przy-jęcia prawd wielkich, objawionych, które z granic rzymskich wylać się miały na ludzkość całą i pchnąć wszystkie narody do postępu, do pra-cy okolo dzieła Boskiego. Pośrednikami mię-dzy czasem a czasem, narodem a narodem, stali się według natury rzeczy, duchowni, potęga ich nad sercami i umysłami, była tym większa, im powolniejsze było usposobienie dziecinnych pra-wie serc i umysłów. Siła ta, zrazu pojedyn-cza, przeto słaba, zbiła się w jedność i system. Duchowni sformowali się, jak gdyby w pulki regularne zakonów, i postawili na czele wodza papieża, osadziwszy go na opoce, której bramy piekielne nawet poruszyć nie miały; a tak uor-ganizowana władza kierowała narodami do woli, nie długo przeistoczyła serca i dusze, i tą siłą nieugiętą sposobila narody do doskonałości chrze-sciańskiej.

Święta owa duchowieństwa powaga rosła i wzmagała się imponującą erudycją. Nie czer-pali jej duchowni z własnego zapasu myśli, bo tej energii i giętkości rozum ich, związany na-

uką nadaną i przywalony dziełami zeszłości greckiej i rzymskiej, mieć nie mógł. Próżnia rozumu zapełniała się łatwo i wygodnie pomysłami dwóch owych narodów. Obok więc teologii i nauki moralnej imponowali znajomością dwóch owych języków i literatur i tę też mądrość ręką szczerą rozdawali pomiędzy narody. Ztąd przewaga łaciny po najodleglejszych krajach, w Polsce nawet powszechna; ztąd szkoły pod przewodnictwem zakonów, których cel ostateczny: łaciński język i religia.

Zółwim krokiem szedł taki postęp ku doskonałości; ostrzył się przecież rozum odgadywaniem języków, form, myśli, porównywaniem tychże, przeistoczeniem podług miejsca, potrzeby i czasu. Cała literatura złota polska i wszystkich narodów w wiekach XV. i XVI. jest taką transfiguracją pomysłów greckich i rzymskich. Aż też wreszcie czas nadszedł, gdzie wypiełgnowany rozum na łonie kościoła, wzwyczajony poruszać się o siłach własnych, schardział, strząsać zaczął jarzmo na siebie włożone, i wglądać okiem nietylko w podania Greków i Rzymian, ale także już w własny świat, jego stosunki i potrzeby. Reformacja stoczyła walkę z powagą wiekami uświęconą o prawa człowieka rozumu — i zwyciężyła. Bez nadużyć, niesprawiedliwości, obłędów obejść się, jak wszędzie, nie mogło: ale wyswobodzono przynajmniej prawo rozumu. Obłęd polegał na tem, że narody ufne w rozum, mszcząc się na władzy tak długo despotycznie, gwałtownie nawet panującej, zwaliły naraz powagę Objawienia, powagę historii i podania, a upojone powodzeniem tak w politycznym zawodzie, jako też w dociekaniu prawd rozumowych; nie mogły znaleźć wsparcia i środka między powagą Podania a Rozumu. Ztąd to pochodzi dwoista ta fizyognomia protestantyzmu, że nie wie, czego się trzymać: rozum każe niszczyć wszystko, czego on sam nie wymyślił i nieuświęcił; trwoga jakaś sumienia i siła tradycyi hamuje tę rozumu nieśforność. Ale dla postępu narodów zdobyto korzyści niepoliczone.

Bo oto myśl z więzów oswobodzona, rozum zaostrzony na dziełach Greków i Rzymian, zwrócił się nagle z próżnej poniekąd zaziemskości w świat rzeczywisty i pełny. Zaczęto się znów cieszyć życiem i światem, jak niegdyś Grecy, i tu szukać zakresu działania, tu się krzątać około wykazania tego obrazu, wedle którego Bóg świat stworzył, tu zaczęto szukać tego Słowa, które wyszło od Boga i ciałem się stało, by znów wrócić do niego. Ludzie czuli, światli, kochający świat dla Boga i Boga w świecie, przestali uciekać przed tymże światem w kryjówek leśne lub klasztorne, z y c i a zaczęli i do z y c i a zwrócili narody. Odebrano więc ludziom niechcącym życia, trzymającym umysł na uwięzi, prawo i środki prowadzenia narodów: odebrano im wychowanie pokoleń. Straciło wówczas duchowieństwo wychowanie, to narzędzie posuwające narody i ludzkość, a to z przyczyny, że wychowanie do z y c i a sposobić powinno, a więc brać środki z z y c i a, zaopatrzać serca i umysły zapasami z z y c i a. Dopóki więc duchowieństwo z korbów korporacji osobnej, z osobnego jakiegoś organizmu nie wyszło, dopóki się nie pogodziło ze światem, zrzekając się widoków jakichś wyłączonych, ciasných, dopóty odzyskać nie mogło prawa wychowania narodów.

Od tej to rewolucyi w dziejach narodów i dziejach rozumu ludzkiego otwiera się świat wielki, wspaniały i pełny, a zakres rozumu i czynu nieprzebrany. Narody wyrzucone z łona Matki kościoła, jako dzieci krnąbrne i wyrodne, wydziedziczone z łaski tegoż kościoła, pójść musiały na zarobek z całą siłą ducha, aby innego sobie poszukać świata i na innej drodze pojednać się z Bogiem chrześcijańskim. A najprzód rzucono się znów do autorów starych, bez skrupułu już i trwogi sumienia, by naciągając pomysły stare do prawd nowych objawionych, nie wykroczyć gdzie przeciw prawdzie Pisma i Tradycyi. Pojmować zaczęto historyków, poetów, filozofów z nich samych i wedle pra-

wdy. Od formy postąpiono do rzeczy ¹⁾: a tak na wzór i miarę Greków, świat nowy, pełniejszy, doświadczenie tylu wieków w sobie noszący, budować zaczęto podług pomysłów i kategorii starych filozofów, zapelniając też kategorie materyą nową i obfitszą. Powstała i zakwitła filozofia, której celem było i jest zrozumieć i pojąć życie narodów starożytnych, z wszystkich stron i widoków. Jeśli nauka ta zbyt długo czynność umysłów na uwięzi trzymała, i za wiele głów zaprzętała, któreby korzystniej i samodzielniej nad światem społecznym były mogły pomysleć; to przynajmniej wcieliła ducha zeszłości greckiej i rzymskiej w dzieje nowsze, i podała stanowisko, z którego jasno przejrzyć można było drogę w dziejach już odbytą, i wytknąć ścieżkę prostą do dalszej podróży. Tu dopiero nasiona starożytne prawdziwie użyźniły niwy nowszych narodów. Bo rzucone na pole obszerne, wiekami uprawne, przeto żyzne, wydały urodzaj nader plenny. Jak się miała szczupłość ziemi, ludności i stosunków towarzyskich u Greków, do ogromnego przestworu świata nowego; tak się miał dobytek ich umysłowy do zapasu odkryć i pomysłów narodów chrześcijańskich. Wyplęły one ze źródeł greckich i rzymskich, ale wnet wezbrawszy potokami, rozlały się po świecie całym. Z pojedynczych przypadkowych Wiadomości, postąpiono przez rozdział tychże, wyczerpanie rzeczy, rozjaśnienie i ożywienie martwych materiałów do Umiejętności. To jest cel, do którego zdążałem.

Aby ułatwić naukę języków starożytnych, potrzeba było z zamieszania słów różnych, form, składan, wyciągnąć prawidła pewne, stałe i takowe ułożyć jakokolwiek. Pisano więc grammatyki greckie i łacińskie, które pomnażano od czasu do czasu, spostrzeżeniami coraz nowszymi, i porządkowano podług widoków coraz jaśniejszych, logiczniejszych; a i do tego

1) Walczono najprzód z językami i formą, czyszcząc teksty, szykując, uzupełniając, i tym rodzajem krytyki i badania ćwiczą władzę myślenia i kombinowania.

znaleziono już rubryki gotowe w kategoriach Aristotelesa i późniejszych grammatyków. Do rubryk tych stósować i mieścić zaczęto z wolna języki żyjące także, narodowe, i ucieszono się niepomalu, że przypadły do owej miary. Tak się więc uczono języków starych więcej, mniej ojczystych; a kto się uzbroił w zapas wyrazów, umiał jednogatunkowe formy i składy skombinować, odróżnić je od niezwyčajnych, nieregularnych, ten miał Wiadomości w językach i grammatyce. Tymczasem w miarę nagromadzonych spostrzeżeń i materiałów grammatycznych; tudzież w miarę rozjaśnionego widoku w sferze myśli, zaczęto bliżej też wglądać w naturę głosu, zmianę tegoż podług organu i obrazu myśli, a ztąd w różność form, w konieczny skład jakis tychże ku spełnieniu pojęć całych. A tak z wolna, w najnowszych mianowicie czasach, dostrzeżono, że jak mowa obrazem jest myśli, tak też na wzór myśli ma w sobie organizm stały, logiczny, genetyczny, że duszą ożywiająca ulotne głosy mowy, jest myśl pełna, organiczna, sama z siebie się rodząca i swą własną rozrastająca się siłą, taż sama myśl, która w Bogalonie spoczywa, która ożywia naturę i wszystkie świata zmysłowego i umysłowego pierwiastki i składy, a tu szczegółowa wcielona jest w głos ludzki. Kto pojedyncze języki i mowę ludzką w ogóle zbadał i pojął podług tych koniecznych praw i właściwych w rzeczy samej spoczywających zasad; ten nie posiada już tylko pojedynczych Wiadomości w tej nauce, ale ten mowę pojął i rozumie ją, ten myśl swoją własną, osobistą, godzi i żeni z myślą tkwiącą w owych głosach, formach i składach mowy, z myślą przedmiotową: a nauka mowy i języków tak pojęta i uorganizowana, staje się umiejętnością mowy i języków pojedynczych. Co w Wiadomościach jest przypadkowym, rozrzuconem, martwym, a przeto materiałem obciążającym pamięć: to w Umiejętności jest logicznem, stałem, żywotnem, a przeto myślą myśl naszą ożywiającą i kształcącą. (Dokończ. w 6. lub 7. N.)

KRYTYKA.

Michała Wiszniewskiego

Historya Literatury polskiej. T. II. Kraków 1840.

Nie jest bynajmniej zamiarem naszym, rozbierać krytycznie nader ważne to dzieło jednego z najznakomitszych pisarzy naszych. Byłoby to bowiem sądzić przedwcześnie o pracy, której dotąd obszerności, wnosząc z jęj zakroju, przewidzieć nawet jeszcze nie można. Rzucimy tylko nawiasem kilka uwag o niektórych zdaniach, twierdzeniach i wnioskach uczonego autora, niezgodnych z naszym przekonaniem.

Na stronie 8. mówi autor w przypisku: „Że ktoś pisał z rękopismów dla drugiego niedostępnych, mała bardzo, a raczej żadna zasługa. Tylko bardzo nierozsądny na tak wątpliej podstawie sławę dla siebie buduje: bo z tych samych faktów ktoś lepszy wcale co inszego napisze. Voigt np. z rzadkich, z jedynych materyałów bardzo lichą ulepił książkę i t. d.“ Naodwrot możnaby powiedzieć: że ktoś pisał z drukowanych, dla drugiego niedostępnych książek, nie jest żadna zasługa, bo z tych samych źródeł zdatniejszy lepsze dzieło napisze. Czerpanie do dzieła wątku z rękopismów, jest zasługą i bardzo wielką zasługą, o tyle zaś większą od czerpania go z drukowanych dzieł, o ile tu pisarz więcej trudności znachodzi. Nieraz bowiem przeczytanie i sprawdzenie jednego przywileju, jednego dokumentu historycznego, więcej czasu zabiera i bardziej cierpliwość nuży, niż przebieżenie kilku foliantów drukowanych, w porządne indexy opatrzonych, jak np. w literaturze naszej Długosz edycyi lipskiej, albo Kromer edy. koloń. i bazylejskich. Dla chcącego i mogącego pisać, wszystkie rękopisma, są równie jak książki drukowane, mniej więcej dostępne; dla nieuka lub leniwa, nie ma dostępnego. Przed i po Lengnichu, przed Voigtem, było wielu u tych samych źródeł, z których oni tak obficie czerpali, a przecież nikomu na myśl nie przyszło użyć tych skarbów historycznych w naukowym celu. U nas archiwa koronne, katedralne, grodzkie, zakonne, miejskie, a nawet prywatne, są niemal dla każdego przystępne: śniż się komu korzystać z nich dla z bogacenia rozmaitych gałęzi historyi krajowej? Czemu? bo do pisania dzieła z rękopismów potrzeba, prócz nauki, niezmiernej pilności i wytrwałości (na której nam w każdym względzie całkiem zbywa), przymiotów, które rzetelną zasługę stanowią, zasługę, jakiej zatrzeć nie zdoła napisanie później przez kogoś lepszego z tych samych źródeł dzieła, jak talent Mickiewicza nie zatart bynajmniej zasługi poetyckiej Kochanowskiego. Voigta też praca nie jest lichą. Ze on nam nie sprzyja, to rzecz osobna. Niemcy, u których literatura historyczna na tak wysokim stopniu stanęła, nie ważą go

też sobie tak lekce, i dałby nam Bóg wiele tak lichych, jak jest jego książka!

Na tej samej stronie czytamy, że Naruszewicza historya będzie w cenie, póki kto lepszej nie napisze. Taka jest kolej wszystkich dzieł ludzkich. Każdą rzecz dopóty cenimy, dopóki lepszej nie mamy; ale nie idzie zatem bynajmniej, żeby historya Naruszewicza była złą, albo kiedy rzetelną wartość swoją straciła. Po napisaniu nawet lepszej przez kogoś historyi, na co jednak długo jeszcze czekać będziemy, Naruszewicza dzieło nie przestanie być ozdobą literatury polskiej pod względem stylu, krytycznego obrobenia rzeczy, zmuszonego nagromadzenia dat i faktów i usiłowań niezupełnie bezowocnych przedsięwzięcia się przez grubą pomrokę pierwiastkowych dziejów naszych.

Na stronie 9. w Rozdziale o historyi, mówi autor: „Pierwszym zawiązkiem historyi polsko-łacińskiej i historyi kościoła polskiego, były katalogi, pisane w początkach na okładce, lub białej karcie księgi liturgicznej i chowane w zakrystyi. Te katalogi kościelne przytacza Nakielski i Paprocki.“ Na stronie 12.: „z tychto katalogów Długosz żywoty biskupów wszystkich dyecezyi popisał.“ I w wielu innych miejscach odwołuje się do świadectwa owych katalogów z X. XI. i XII. wieku. Odwoływanie się atoli takowe do owych katalogów, zdaje nam się nie dosyć uzasadnionem. Katalogi bowiem te, są dziełem daleko późniejszych wieków, i sam Długosz dał podobno do nich pochop, wytrząsnawszy, jak mówią, nazwiska i czyny jednych biskupów (przy katedrach nawet, których powstanie o lat kilkadziesiąt, a nawet niektórych o dwa wieki, jak np. kamieńskiej, antycypował), drugich na domysł podorabiawszy. Na wzór jego dopiero żywotów biskupów polskich, zaczęto po rozmaitych katedrach zakładać książki, zwane katalogami, w które wpisałszy nazwiska pierwszych biskupów Długoszowskich, wciągnano dalej dzieła, rok wyboru albo nominacyi, konsekracyi, wjazdu na biskupstwo, nareszcie datę śmierci biskupa każdego i niektóre jego czyny. Na dowód, że katalogi te nie mogą być starsze nad wiek XV., przytaczamy następującą okoliczność. Katedry nasze, pomimo częstych pożarów, napadów nieprzyjacielskich i t. p. kleśk, zachowały dokumenta rozmaitej treści, od XIII. wieku począwszy; za cóżby nie miały zachować katalogów swoich z X., XI., XII., aż do XV. wieku? tymczasem któż z żyjących widział, aby jeden taki katalog, jako zabytek piśma z owego czasu?

Podejrzańsze są jeszcze świadectwa Paprockiego o katalogach. Po heraldyku z XVI. wieku nie można wymagać krytyki historycznej. Aby udowodnić starożytność jakiego domu, musiał on łapać świadectwa i z powietrza. Bóg też wie, kto jego katalogi kuł i nie dziwi nas bynajmniej, że przytacza dowody piśmienne z X. wieku; owszem za-

stanawia nas, że nie wypisał w dziele swoim, z innych miar szacownem, jakiego przywileju Sema, albo Chama, na dowód, że herb topor Noe ustanowił. Katalogi klasztorne Nakielskiego, Szczygielskiego i innych, na podobną wiarę zasługują co do wieków X., XI. i XII., jak Długoszowskie i Paprockiego z tejże epoki. Pisane one były w XV., XVI., albo XVII. wieku, a nazwiska i czyny pierwszych proboszczy, opatów, lub t. p. podrobione, następnych wyciągane z prawdziwych lub fałszowanych przywilejów. Ze zakonnicy nasi o swoich poprzednikach przed XIII. wiekiem, a nawet o początkach swoich klasztorów, mało co, albo nie zgola nie wiedzieli, przekonywają nas takie katalogi klasztorne z XVI. i XVII. wieku, których kilka mamy w kopiach przed sobą, a osobliwie katalog opatów benedyktyńskich w Lubiniu, wsi pod Kościanem. Katalog ten pod napisem: *Series abbatum Monasterii S. Mariae in Lubin Ordinis Cluniacensis S. Patris Benedicti, ex libro antiquitatum ejusdem monasterii excerpta*, napisany w XVII. wieku, wyznaje otwarcie: „Qui primi monasterio huc ab anno fundationis ejus circiter 1113 ad annum usque Christi 1238. successive praefuerint coenobiarum, nihil expresse docent archivi nostri vetustates. Habentur tamen anniversariis Defunctorum fratrum libris sparsim inserti, praeter caeteros aliquot, incerto vagi saeculo abbates loci hujus ad id tempus referendi. Nam quia ii posteriorum aetatum abbatibus accenseri non possunt, vetante id eorum serie, ab anno praedicto 1238. ad nostra usque tempora ex monasterii monumentis ordine suo contexta, necessario sequitur, ipsos caeteris tempore superiores primo hoc conditi coenobii saeculo officium abbatiale gubernasse. Et cum nobis de successoribus eorum ordine non constet, majores enim nostri dum eos inter mortuos referrent, tempus et annos regiminis per ipsos gesti incaute suppresserunt, obitus diem ac nuda eorum nomina memorasse contenti; proinde ea, ordine, quo ibidem sunt annotata, juxta mensium seriem huc transferuntur etc.“ Takimi są u nas dzieje wszystkich katalogów klasztornych i katedralnych! Czemu zaś były i są owe przepomnienia Paprockiego, uczy także przytoczony wyżej wyciątek z katalogu lubińskiego. Nie kładziono w nich nigdy roku zgonu, tylko dzień i miesiąc; i dotąd zakonnicy siadając w refektarzu do stołu, czytają głośno takie przepomnienia swoich dobroczyńców, według dni, w których ze świata schodzili. Do takichto przepomnień doda-

wał Paprocki lata według swoich konjektur, albo też potrzeby. W ogólności, Paprocki może być co do źródeł swoich średniowiecznych, bardzo przydatnym dla powieściopisarza, dla dramatyka, ale historyk poprzeć się nim nigdy nie zdoła. Naruszewicz też, którego dzieł najcenniejszą jest ozdoba ostrożny wybór świadectw, rzadko, albo prawie nigdy się do Paprockiego nie odwołuje. Zresztą śmiało twierdzić możemy, że z czasów przed XII. wiekiem, nietylko katalogów, ale nawet żadnych innych zabytków piśmiennych nie mamy. Nawet w archiwum watykańskiem, gdzieby powinny być od samego zaprowadzenia religii chrześcijańskiej w Polsce, zaczynają się dopiero od roku 1225.

(Ciąg dalszy w 6., dokończenie w 7. Numerze.)

NOWINY LITERACKIE.

Z Poznania.

c) Żywoty sławnych Polaków, wydawane przez Edw. Hr. Raczyńskiego, to jest Żywot **Nowodworskiego**, napisany przez **Koźmiana**, i Żywoty dwóch **Radziwiłłów**, jako autobiografie wydane z starożytnych manuskryptów wyjdą nie długo z druku.

Z zamiejscowych wyszły: *Idée de la Republique par Kurzweil*, pamiętniki wydane z rękopismów biblioteki królewskiej paryzkiej.

Bronisław Trentowski napisał w języku niemieckim nowe dzieło w 2. Tomach, to jest: *Logikę*, w której myśl główna tego sławnego filozofa najjaśniej występuje. Będzie to najlepsze jego dzieło.

Obecnie pisze Pedagogikę, w polskim języku, mającą się składać z trzech części: Dziecię, Nauczyciel i Historia Pedagogiki, wskazująca, jak mądrość odwieczna rodzaj ludzki wychowywała. Wykładał on już potrzykroć tę naukę w uniwersytecie Frejburgu, mógł więc do niniejszego dzieła wiele nagromadzić materiałów. Spodziewać się należy, że to będzie coś lepszego, jak dotąd posiadają Niemcy.

Po ukończeniu tego dzieła, wyda także w języku polskim: *Historią Filozofii*, która naszemu narodowi jest niezbędnie potrzebną, obudza bowiem ducha i przez porównanie różnych systematów, wiedzie do oryginalnych pomysłów.

Orędownika wychodzi arkusz co tydzień. Prenumeratę kwartalną od 1go Października do 31go Grudnia r. b. to jest na 13 numerów wynoszącą Złotych pol. 4½ przyjmują królewskie pocztamty, księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i drukarnia w Poznaniu na Garbarach No. 45., gdzie się Orędownik wydaje.

Redakcyja Orędownika: **A. Popliński. J. Łukaszewicz.**